

ISSN 1505-8476

informator



nr 187
listopad 2004
oraz 2-5 grudnia

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



POWIEŚCIOWE FABUŁY NA EKRAŃ PRZENIESIONE

Przez polskie kina przemknęła najnowsza adaptacja *W osiemdziesiąt dni dookoła świata* Verne'a. Nie skusiłem się na to, mimo (ponoć) steampunkowej konwencji oraz ostatniej (na razie) roli gubernatora Kalifornii. Jednak film ten potraktuję jako dobry pretekst do zagadnienia, które nurtuje mnie od dawna.

Chodzi o różnice fabularne na linii powieść-film.

Skupię się tu głównie na utworach czysto rozrywkowych, gdzie sama fabuła odgrywa rolę najważniejszą.

Dziewiętnastowieczne powieści awanturnicze charakteryzowały się bardzo, ale to bardzo precyzyjnymi fabułami. Perypetie bohaterów układały się zwykle w konstrukcje przypominające szwajcarski zegarek: jedna przygoda wynikała z drugiej, wszystko zaś dążyło do jakiejś zaskakującej pointy. Czasem pisarz potrafił „przedobrzyć” – i efekty jego inwencji osiągały rejony niezamierzonej groteski. Jednak w najlepszych realizacjach pomysłowość kreatorów owych przygodowych historii może do dziś budzić szczerzy podziw.

Pamiętam nieprzespaną noc spędzoną na lekturze opasłego tomiszczka *Hrabiego Monte Christo*: tę „najpiękniejszą baśń o zemście” (jak powieść Dumasa określił któryś z historyków literatury) przeczytałem od deski do deski jednym tchem! Pyszna, acz już nie na tyle, jest też fabuła *Winnetou* (większość pozostałych powieści Maya już nie ma tej klasy). Podobnie możemy ocenić większość najświetniejszych fabuł wspomnianego na początku Verne'a.

Precyzja fabularna dotyczyła zresztą nie tylko rozrywki, ale także ówczesnej literatury wysokiej; najlepszym przykładem pozostaną tu niewątpliwie *Nędznicy* Hugo (obok treści i artyzmu tego dzieła – mamy też fabułę godną arcy mistrzów powieści sensacyjnej).

Literatura dwudziestowieczna poszła generalnie w inne rejony – acz i tu znaleźć możemy, godnych dawnych tradycji, arcybajarzy (z Tolkienem i jego *Władcą Pierścieni* na czele!).

I tu dochodzimy do „clou” listopadowego wstępniaka...

Im fabuła precyzyjniejsza – tym bardziej ryzykowne stają się wszelkie próby manipulowania przy niej: po usunięciu jednego klocka – wali się cała konstrukcja.

Nie, nie jestem purystą. Nie uważam, że adaptacja każdej powieści powinna być prowadzona „toczka w toczkę”. Ale są konkretne opowieści, których precyzja wyklucza manipulowanie przy fabule!

Szlag mnie trafia na widok rozmaitych radosnych „adaptacji” *Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi* czy *Tajemniczej wyspy*, gdzie dzieją się istne cuda-wianki; plus obowiązkowe w Hollywood dopisywanie postaci kobiecych (nie jestem mizoginista, ale znam kilka magnetyzujących fabuł obchodzących się doskonale bez wątku romansowego). Jeśli natomiast ktoś sensownie rozbuduje *Wyprawę do wnętrza Ziemi* – nie mam nic przeciwko...

Często dochodzi do totalnych absurdów. Pamiętam np. jakąś ekranizację *Psa Baskerville'ów* Conan Doyle'a, gdzie z żony Stapletona uczyniono nieświadomą jego zbrodni siostrę – tylko kto w takim razie wysłał ostrzegawczy list do sir Henry'ego?

Poza tym szczegółowość fabuły służyła często pisarzom XIX (trochę dziwnie, że nie można już napisać „ubiegłego”!) wieku jako narzędzie psychologicznej charakteryzacji postaci (np. wewnętrzna przemiana Jeana Valjean bez traumatycznej sceny obrabowania małego Sabaudczyka jest znacznie mniej przekonująca).

Ta drażniąca maniera „poprawiania” oryginałów dotknęła też swego czasu adaptacje współczesnych polskich powieści młodzieżowych, zwłaszcza cyklu o Panu Samochodziku – saga Nienackiego jest przecież w oryginale inteligentnie dowcipna, a nie drażniąco infantylna.

Oczywiście wszystkie te uwagi nie dotyczą utworów, w których fabuła schodzi na plan dalszy: skupionych na treści, impresji, grze. Wtedy wszelka inwencja (autentyczna inwencja, nie udziwnianie na siłę!) ze strony adaptatorów jest mile widziana!

Jan Plata-Przechlewski

Jubilaci miesiąca pierwszego!

Jak mawiał Kubuś Puchatek,
a pan Sowa zapisał:



Z POWAŻSZOWANIEM
URORURODZIN



2 Adam Cetnerowski	13 Miłosz Dziembowski
6 Bogdan Kałużny	Magdalena Koreń
Witold Siekierzyński	15 Waldemar Igielski
7 Karol Juralewicz	16 Radosław Łagan
8 Agnieszka Bohosiewicz	19 Andrzej Dubiak
10 Mirosław Malak	25 Helena Strokowska
Jan Plata-Przechlewski	26 Eugeniusz Dębski
12 Maciej Cetnerowski	28 Paweł Krucicki

BAJKOWYCH ŚWIĄT (fantasy) i FANTASTYCZNEGO NOWEGO ROKU (sf)

życzą wszystkim fantantom dobrej woli
GKF



LISTOPADOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się w dniu 21.11.2004 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

1. Zarząd uchwalił utworzenie nowego Działu Gier Planszowych. Szefowie Działów Gier Strategicznych i Gier Planszowych powinni do końca roku przeprowadzić przekazanie gier.
2. Prezes przedstawił informację o aktualnym stanie prac Komisji Rewizyjnej.
3. Prezes przedstawił informację o spotkaniu założycielskim (18.12.2004) nowego Klubu Lokalnego o charakterze tolkienowskim.

II. SPRAWY PERSONALNE

1. Zmiany funkcyjne
Zarząd mianował Adama Cetnerowskiego szefem Działu Gier Planszowych.
2. Rozpoczęcie stażu kandydackiego
ANGMAR: Dominik Chojnacki, Wojciech Dowgiąłło
BRETHREN: Aleksandra Scibisz, Piotr Rutkowski
3. Zakończenie stażu kandydackiego
ANGMAR: Robert Jaliński
4. Cofnięcie skreślenia z listy członków
BRETHREN: Maciej Bulanda

III. SPRAWY FINANSOWE

Skarbnik GKF przedstawił informację o stanie finansów Klubu i stany subkont KL.

Witajcie!

Zapewne mieliście już okazję słyszeć o Światach Możliwych, nowym czasopiśmie poświęconym fantasy i RPG. Jako redaktor naczelny chciałbym Was zaprosić do współpracy z naszą gazetą. Chętnie wydrukujemy informacje o wszystkich Waszych przedsięwzięciach i imprezach, które organizujecie. Chętnie też umożliwimy Waszym autorom publikację tekstów i grafik. Jesteśmy również otwarci na wszystkie Wasze propozycje współpracy. Prze-dyskutujcie tę propozycję na spotkaniu klubu i, jeśli uznacie, że jest ciekawa, skontaktujcie się z nami!

Proponujemy Wam również zakup Światów Możliwych po promocyjnej cenie – przy zamówieniach 5 i więcej sztuk SM kosztują dla Was tylko 5zł! Wystarczy zamówić odpowiednią ilość egzemplarzy i przy wpłacie obok numeru zamówienia wpisać nazwę klubu.

Pozdrawiam serdecznie i zapraszam do współpracy!

Szymon Fokt



szymon.fokt@swiaty-mozliwe.pl

NORDCON: DIUNA-ALTERNATYWA

Wrażenia Martynty

"Diuna - alternatywa" - pod takim właśnie hasłem odbył się tegoroczny Nordcon. Przyznaję, że nie sądziłam, iż w warunkach domowych można wyprodukować tak przekonujące filtrfraki. Co prawda najbliższa pustynia leży na przeciwnym końcu Polski, ale może to i lepiej. Trochę szkoda, że nikt nie spróbował się przebrać za czerwia, ale zostało to nadrobione podczas konkursu w ujeżdżaniu tegoż. W zasadzie były to chyba raczej wyścigi czerwi luzem, jednak dorodni młodzieńcy, opakowani szczelnie w czarną folię i skrepowani metrami taśmy klejącej, dawali z siebie wszystko. Ta niezwykła technika ekspresowego czołgania się... czyżby ćwiczyli w domach...?

Jak zwykle jednak w dziedzinie strojów wszystkich przebiła Foka. Zastanawiam się tylko, jak ona jest w stanie przewieźć takie ilości wyszukanej garderoby i nie dopuścić do jej pogniecenia?

W każdym razie pani kelnerka z miejscowej knajpy wyznała mi, że lekko zwątpiła, gdy do tego przybytku wkroczyła malownicza grupa poprzebieranych konwentowiczów.

Sama wzięłam udział w egzaminie na Matkę Wielebną Bene Gesserit, zupełnie przypadkowo, ale co to szkodzi. Zdaje się, że największe zainteresowanie widzów wzbudziła konkurencja sprawdzająca gibkość przy pomocy gry zwanej „Twister” (jest to chyba odpowiednik „butelki”). Kiedy na kolorowej macie stanęły jednocześnie trzy kandydatki na wiedźmy i zaczęły przybierać pozy wymagające zazwyczaj wypięcia tyłka, nagle zaroilo się tam od fotografów-amatorów.



Konkursów było zresztą więcej - od czasu do czasu do czasu wysyłałam umysł, usiłując nadażyć za pytaniami najważniejszego tegorocznego konkursu, ze znajomości „Diuny” Herberta w tłumaczeniu kanonicznym, który współprowadzili Klaudia Heintze i Marek Michowski, oboje zresztą w stosownych strojach, co miało pomóc uczestnikom w osiągnięciu stosownego stanu skupienia umysłów. Odniosłam zresztą wrażenie,

że pomogło im to raczej średnio, zwłaszcza że pytania okazały się dość perfidne. Za to atmosfera została upoetyczniona przez mistrza balisety Kwiczola, który przy akompaniamencie własnym przedstawiał pieśni z „Diuny”. Niepowtarzalnie, kto nie słyszał, niech żałuje.

Kolejny konkurs, przy którym byłam obecna (zarówno ciałem jak i duchem, co po dwóch dniach konwentu, jak powszechnie wiadomo, bywa trudne ;), to konkurs wiedzy o Kubusiu Puchatku (precz z Fredzią!), którego ozdobą i zarazem główną nagrodą był osobisty pluszowy miś Marka Michowskiego, wcześniej ukrzyżowany przez Klaudię. Dotyczyło go jedno z pytań konkursu: kto i w jakiej powieści opisał misia w takiej właśnie postaci? Niestety, tu wszyscy uczestnicy się wyłożyli. Nie tylko zresztą na tym pytaniu!



A podobno Foka preferuje konkursy, w których można się wykazać... ;) Za to zadania, że tak powiem - zręcznościowe, doprowadziły licznie zgromadzona publiczność do czkawki ze śmiechu. Pierwsze wymagało spożycia dużej łyżki tranu (czyli tego, co tygrysy lubią najbardziej), a drugie - nadmuchiwanie i pęknięcia balonika na czas. Pieprzyku tutaj dodał fakt, że z braku baloników użyte zostały prezerwatywy. Uwaga, one jednak pękają, i to z hukiem! Wymaga to jednak rzucenia się na nie całym ciałem. Jeden z uczestników tego konkursu schował sobie „balonik” na pamiątkę, zwierając mi się przy tym, że syn nigdy mu nie uwierzy, że to tylko pamiątka po Kubusiu Puchatku. Ale ja też bym pewnie nie uwierzyła.



Z drugiej strony, trudno mi było przyjąć do wiadomości tłumaczenia jednego z pisarzy, dlaczego paradyje bez spodni. A był to po prostu element działań Komandora, mający na celu skłonienie uczestników konwentu do noszenia identyfikatorów. Utracone części garderoby można było później odzyskać za okazaniem tego magicznego kartonika. Ja też miałam okazję. ☺

Nie mogę, niestety, wypowiedzieć się na temat poziomu spotkań autorskich, ponieważ, wstyd się przyznać, nie byłam na żadnym. Jednak wszyscy wiedzą, jak absorbujące potrafi być życie towarzyskie na konwencie. ;) Udało mi się za to ustalić, dlaczego kupowany w barze wysokoprocentowy alkohol zawsze był ciepły.

A Duda był, jakby go nie było... To niezwykle, ale ograniczył się właściwie do zamknięcia w pokoju Generała, który był z nim zakwaterowany i zgubienia klucza, przez co Generał musiał opuścić pokój przez okno, na szczęście na pierwszym piętrze. Wiem tylko, że kilka osób zażywających odpoczynku po piżam-party sądziło, że za oknami przemyka jakiś wilkołak, ale ostatecznie to rzecz normalna na tego typu imprezie. ;)

Jakby jednak na sprawę nie spojrzeć, Nordcon uważam za udany. Co będzie w przyszłym roku?



Martyna Plisenko

Forum Fandomu w siczy Hutnik

Odbyło się w Jastrzębiej Górze, podczas Nordconu. Poruszonych zostało kilka spraw:

1. Informacja o Polconie 2005

Odbędzie się w dniach 25 - 28.VIII.2005 r. w Błażejewku, w tym samym miejscu, gdzie pierwszy Polcon. Koordynatorem jest Maciej Witkowiak. Dostępne są różne standardy noclegów, w zależności od budynku; najtańszy kosztować będzie 12 zł, najdroższy 50 zł. Ilość noclegów jest ograniczona, w związku z czym na stronie internetowej będą publikowane informacje o dostępnych jeszcze miejscach. Ceny noclegów są nieprogressywne - nie wzrastają w czasie konwentu. Akredytacja kosztuje: do końca 2004 r. - 45 zł, do końca czerwca - 50 zł, do końca lipca - 60 zł, na imprezie może jeszcze wzrosnąć.

Ważną częścią programu będą uroczyste obchody dwudziestolecia Nagrody Zajdla i Polconów.

Adres internetowy: polcon.webd.pl; mail: polcon2005@tlen.pl; telefon polconowy: jak zwykle 0-607 702-320

2. Podstrona o zasługach zmarłych fanach na stronie Fandomu Polskiego

Pomysł stworzenia podstrony został jednogłośnie zaakceptowany.

3. Informacja o Roku Janusza A. Zajdla (2005 r.)

Być może uda się zorganizować imprezy okolicznościowe podczas Targów Książki w Warszawie i Krakowie; Seminarium Literackie będzie poświęcone J. Zajdłowi i antyutopiom; czynione są starania o nadanie ulicom imienia Janusza Zajdla.

4. Sprawa pilnowania „trudnych” fanów i ich ewentualnej listy

Rozmawialiśmy głównie o tym, jak ich dopilnować, zachowując jednocześnie prawo.

5. Informacja o Polconie 2006

Odbędzie się pod koniec sierpnia 2006 r., oczywiście w Lublinie, tam gdzie Polcon 1994. Noclegi będą raczej w akademikach.

6. Kalendarium imprez w 2005 roku

LUTY	10-13.II.	Krakon (konwencja antyku i mitologii)
MARZEC	II weekend	R-kon w Rzeszowie Nie ma Pyrkonu!
KWIECIEŃ	8-10.IV. ok. 8-10.IV. III weekend	Konkret w Warszawie; temat: Zjazd superbohaterów Lubelskie Dni Fantastyki (mogą być tydzień później) III Ogólnopolski Konwent Gier Fantastycznych DRAGON w Lublinie
MAJ	29.IV - 2.V. początek mies.	ConQuest Czekon w Częstochowie
CZERWIEC	okolice Bożego Ciała koniec mies. II połowa	Seminarium Literackie w Chorzowie (J. Zajdel, antyutopie) gra terenowa w Wiśle, na Baraniej Górze Festiwal Fantastyki, Nidzica
LIPIEC	początek mies. druga połowa lipca	Teleport Piknik na Skraju Drogi w Cerkiewniku
SIERPIEN	I weekend	Worldcon w Glasgow (akredytacja wynosi 710 zł, nie ma już wpłat ratałnych) Polcon w Błażejewku
WRZESIEŃ	25-28.VIII.	Bachanalia
PAŹDZIERNIK	7-9.X. (?) 21-23.X.	Zahcon Imladris Bunkier w Częstochowie
LISTOPAD	przedostatni weekend	VI Falkon w Lublinie (akredytacja 25 zł)
GRUDZIEŃ	1-4 lub 8-11	Nordcon w Jastrzębiej Górze



BĘDĄ „GWIAZDY W CZERNI”!

Stanisław „Staszek szybki jest” Mąderek rozpoczyna prace nad filmem „Stars in Black” („Gwiazdy w czerni”), parodią „Gwiezdných Wojen”. Na stronie <http://stars-in-black.pl> można znaleźć szczegóły, w tym informacje o tym, jak wesprzeć produkcję filmu. Możliwe jest też wzięcie udziału w internetowym castingu.

MJS

„MAGAZYN FANTASTYCZNY” #3

Ukazał się kolejny numer tego radomskiego periodyku. W nim, wśród stałych rubryk, znalazł się komiks znanego z naszych łamów Tomasza Meringa (oparty na pomysle Tomasza Sitka) zatytułowany *Fucha*. To alternatywna opowieść o Hitlerze, któremu wydawca odmówił wydrukowania *Mein Kampf*...

jpp

KOMIKSOWA „AWANGARDA”

We wrocławskiej galerii „Awangarda” trwa, do 2 stycznia, wystawa mistrzów komiksu - czyli ponad trzydziestu autorów z Polski, Francji i Szwajcarii.

jpp

NOWY FILM BAGGINSA

W polskich kinach pojawiła się „Sztuka spadania” - nowy film Tomasza Bagińskiego, autora nominowanej do Oscara „Katedry”. Prezentowany jest przed „Sky Kapitanem i światem jutra”.



„Sztuka spadania” opowiada o zapomnianej bazie wojskowej na Pacyfiku. Wysłani są tam zasłużeni oficerowie, którzy w wyniku wypełnionych misji postradali rozum i stracili kontakt z rzeczywistością. Na wyspie, w oddaleniu od cywilizacji, weterani pielęgnują swoje dziwactwa. Główny bohater filmu - Stary Generał - jest pasjonatem sztuki.

film.onet.pl

KLUB GIER BITEWNYCH W WEJHEROWSKIM CENTRUM KULTURY

Przy WCK powstał niedawno Wejherowski Klub Gier Bitewnych. Ich strona internetowa: www.kgb.draconis.prv.pl; ich adres e-mailowy: kgb_draconis@o2.pl.

jpp

PIRACKIE WIĘŚCI

Serwis „Dark Horizons” poinformował, że druga część filmu „Piraci z Karaibów” nosić będzie tytuł „Skrzynia truposza”. Tym samym zmieniony został pierwotny tytuł („Skarby Zaginionej Otchłani”).

Początek zdjęć przewidywany jest na luty 2005 roku.

film.onet.pl, MJS

NOWOŚCI WYDAWNICZE

W księgarniach pojawiło się kilka nowych książek polskich autorów. Nakładem „RUNY” opublikowana została „Wojna runów” Marcina Mortki. Z kolei „Fabryka Słów” wydała powieść Jacka Piekary „Miecz aniołów” i antologię „Małodobry”, natomiast „Solaris” – zbiór opowiadań Dawida Brykalskiego „Autostopem przez wyobraźnię”.

MJS

MEDAL DLA BRADBURY'EGO

Ray Bradbury, autor „Kronik marsjańskich” i „Fahrenheita 451”, otrzymał od prezydenta USA George'a W. Busha medal za osiągnięcia w dziedzinie kultury.

MJS



NAGRODA DLA GODZILLI

Słynny potwór Godzilla otrzymał swoją gwiazdę na Chodniku Sław w Hollywood.

Przed Godzillą tego zaszczytu dostąpiły m. in. Myszka Miki i Królik Bugs.

film.onet.pl, MJS

POTTER NA DVD

„Harry Potter i więzień Azkabanu”, dobrze przyjęta ekranizacja trzeciej części książkowej serii J. K. Rowling, od listopada jest dostępna w formie DVD.

film.onet.pl, MJS

NOWY FILM MIYAZAKIEGO

„Ruchomy zamek Howla” - nowy film Hayao Miyazakiego, reżysera „Spirited Away: w krainie bogów” oraz „Księżniczki Mononoke” – bije rekordy popularności w Japonii. W pierwszym tygodniu wyświetlania przyciągnął do kin ponad milion widzów i zarobił 14 milionów dolarów.

„Zamek...” oparty jest na książce brytyjskiej pisarki Diany Wynne Jones pod tym samym tytułem, wydanej w 2001 roku. Jej bohaterką jest nastolatka, która za pomocą czarów zostaje zamieniona w 90-letnią staruszkę i stara się przełamać zaklęcie. W związku z tym trafia do zamku, w którym mieszkają zadufany w sobie czarodziej i demon ognia.

film.onet.pl, MJS



UWAGA: Chochlik jest niewinny!

Ten informator ma rzeczywiście numer 187!

Poprzedni "Informator" (#186) był numerem specjalnym, krytycznoliterackim.

DAVID BRIN OBJAWIONY

wywiad-dwulatek Sławka Wojtowicza

Rozmawialiśmy na Worldconie 2002 w Filadelfii, podczas podpisywania książek przez Davida. Dwa lata zajęło mi napisanie tego wywiadu (przepraszam, Davidzie), stąd podtytuł...

Sławek Wojtowicz: Każdy fan w Polsce wie, że David Brin jest jednym z najwybitniejszych w świecie pisarzy SF. Większość z tych fanów niewiele wie o Davidzie Brinie jako o osobie. Co mógłbyś nam powiedzieć o swoim życiu?

David Brin: Moi przodkowie przybyli z Polski, z okolic Konina. Mój dziadek został wcielony do armii rosyjskiej i walczył w wojnie rosyjsko-japońskiej w 1905 r. Jak widzisz, jesteśmy opóźnieni w rozwoju... dlatego podpieram się dłońmi, gdy chodzę, i mam owłosione ramiona.

SW: Nie zauważyłem! Czy mógłbyś nam opisać swój rozkład dnia?

DB: Mam dzieci w wieku lat 7, 9 i 4, a Cywilizacja jest skłonna dobrze mi płacić za siedzenie w domu. Pracowałem jako naukowiec i nauczyciel, i uważam te zawody za wartościowe. Być może to, co robię teraz, powinno być moim hobby... A jednak w Cywilizacji, która lubi rozrywkę, lepiej mi się opłaca siedzieć w domu, spać, kiedy mam ochotę i pracować, kiedy chcę...

Nie muszę się z tym zgadzać. Ciężko pracowałem, żeby zostać naukowcem i dobrym nauczycielem, ale kimże jestem, żeby się spierać z Cywilizacją? Ona zasługuje na moją lojalność. Jeżeli Cywilizacja chce, żebym robił to zamiast tamtego, chce płacić mi znacznie więcej, pozwala mi spać dłużej i dowolnie rozporządzać swoim czasem, będę robił to co mi każe.

SW: Ile godzin dziennie spędzasz przy pisaniu?

DB: Jeśli wliczyć korektę, pracuję 6 do 7 godzin dziennie. To może być wyczerpujące... Kiedy chodzi o rzeczywiste tworzenie nowego tekstu, stać mnie najwyżej na 3 godziny.

SW: A twoje rozrywki?

DB: Bawię się z dziećmi, obserwuję ptaki, wykonuję prace domowe, mnóstwo z tym zabawy. Podróżujemy. Kiedy mam okazję, czytam, ale nie zaniedbuję ćwiczeń. Czasem oglądam zawody sportowe... Jestem też sadownikiem - mam dwa akry tej okropnej gliny w Kalifornii, gdzie nie pada deszcz.

SW: Jakie hodujesz drzewa?

DB: Śliwy, cytrusy... To bardzo spokojne zajęcie...

SW: Jeśli to nie sekret, nad czym pracujesz?

DB: Otóż są kultury, gdzie tubylcy mają słowa tylko na 1, 2, 3 i wiele. Co będzie jeśli rozwiną technologię, nie rozbudowując systemu liczb? To mogłoby się zdarzyć! Wyobraź sobie ich odliczanie: wiele, wiele, wiele, trzy, dwa, jeden... A niech to!

Tak właśnie jest w komedii, którą napisałem, i na którą nie mogę znaleźć wydawcy. Zawsze znajduję wydawcę na wszystko, co napiszę serio, ale nie chcą mojej komedii! A ja umiem być zabawny!

SW: Czy zdarza ci się pracować nad więcej niż jedną książką naraz?

DB: Czasami. Nie tak często, bo rzadko się wyczerpuję. Kiedy jednak czujesz pustkę w głowie, to najlepszy sposób. Przechodzisz do innej książki. Pracuję zawsze nad kilkoma projektami. Moja następna powieść nazywa się „Kiln People”. Wyjdzie na Święta. Opiera się na spełnieniu życzenia bycia w dwóch miejscach naraz. Czy wszyscy o tym nie marzymy?...

Wkrótce ukaże się mój 90-stronicowy komiks startrekowy „Forgiveness”. Ilustracje są z „Terran Agent’s Guide to Contacting Aliens”, z Wszechświata Wspomaganych. Ukaże się to w przyszłym roku i będzie naprawdę cool.

SW: Jakie masz plany na przyszłość? Jakie tematy zamierzasz poruszyć?

DB: Zawsze mam więcej pomysłów niż możliwości realizacji. Chciałbym móc się powielić! Klonowanie jest odbiciem tego samego marzenia, ale ludzie nie mają pojęcia, jak to zrobić i oczywiście klon byłby niezależną osobą.

SW: I, przy obecnej technologii klonowania, klon nie byłby naprawdę identyczny z oryginałem...

DB: Otóż to! W „Kiln People” mam coś całkiem innego niż klonowanie: możesz tworzyć golemi obdarzone twoją pamięcią, których jedyną szansą na przeżycie jest powrót i przerzucenie swoich wspomnień na ciebie. Robieś to już setki razy i pamiętasz, że byłeś tymi golemami, więc im nie odmawiasz, chyba że miały zły dzień... Wtedy one udają, że miały dobry dzień, ale ty pamiętasz, będąc wcześniej golemami, które cię oszukały... Dobra zabawa.

SW: Czy pracujesz na sequelem do Wspomaganych?

DB: Stale o tym myślę, ale trylogia „Rafa jasności” była tak wyczerpująca... Jest tyle różnych podejść do czytania i pisania. Wielu czytelników mówi: - Daj mi odczuć dokładnie to samo, co poprzednim razem. - Mógłbym ich zaspokoić, pisząc to samo wciąż na nowo, ale umarłbym z nudów.

Niektórzy mówią: - Zabierz mnie tam, gdzie nigdy jeszcze nie byłem. - Żeby to zrobić, muszę podejmować ryzyko, muszę próbować różnych rzeczy. Wielu mówi: - Chcę, żebyś pisał tylko książki o Wspomaganych. - Muszę im mówić. - Zaczekajcie, wrócę do nich. - Pracuję już nad nowym zbiorem opowiadań, który będzie ilustrowany przez Jima Burnsa.

SW: Co myślisz o filmie „Listonosz” opartym na twojej powieści?

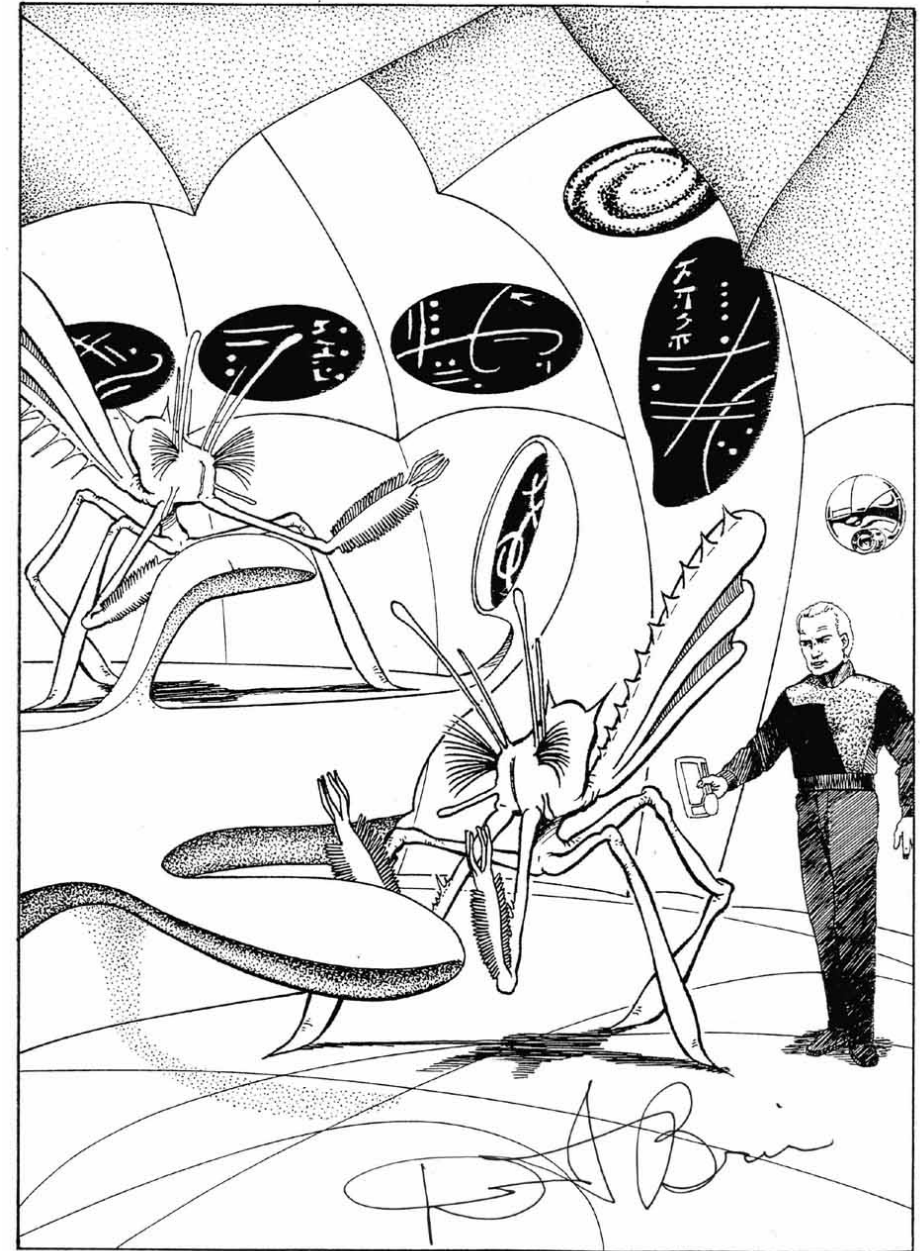
DB: Szkoda mi tego filmu, ale nie był tak zły, jak niektórzy mówią. Zajrzyj na moją stronę w sieci - jest tam mój esej na temat filmu. Naprawdę nie był tak okropny. To nie była moja wina i film nie był naprawdę tak zły, to była słodko-głupia wersja mojej książki...

SW: Co słyhać nowego o Wspomaganych filmach?

DB: Paramount Pictures kupiły opcję na „Gwiezdny przypływ”. Miał to robić Donald Stewart („Czerwony Październik”). Dostałem ładną sumkę za opcję, a oni zaczęli pracować nad pokazaniem delfinów na ekranie i postanowili wstrzymać to na parę lat.

SW: Czy podobają ci się okładki twoich książek?

DB: Wtedy gdy je robi Jim Burns.



SERENTINI

SW: Czy jest w nich jakiś twój wkład?

DB: Zwykle proszą mnie o to, kiedy są już one zrobione przez Jima Burnsa.

SW: Czy masz innych ulubionych malarzy SF?

DB: Uwielbiam wszystko, co robi Michael Whelan, z wyjątkiem tych rzeczy, które zrobił dla mnie. To geniusz.

SW: Czy próbowałeś sam coś namalować?

DB: Tak, namalowałem jeden obraz i był wyjątkowo dobry. Właściwie był bardzo dobry.

SW: Może powinieneś go wystawić na swojej stronie...

DB: Chyba powinienem któregoś dnia... Greg Bear maluje...

SW: Widziałem jego prace – wyglądają wspaniale.

DB: Żyjemy w cywilizacji, w której część z nas cieszy się przywilejem wyboru talentów, które należy rozwijać. Mam pewien talent muzyczny. Mój dziadek mówił 12 językami, a ja zbyt późno zdałem sobie sprawę, że mam jego dar do języków. Ale on był Europejczykiem, europejskim kosmopolitą. Dla niego to było ważne. Ja wyrosłem w Ameryce.

SW: Więc potrzebujesz tylko angielskiego i hiszpańskiego...

DB: Nie musisz nawet znać hiszpańskiego. Rzecz w tym, że za późno odkryłem ten talent. Kiedy mieszkałem we Francji, przyswoiłem sobie akcent doskonale i mogłem gadać jak najęty, ale byłem za stary, żeby się uczyć gramatyki. Wcale się nie martwię. Za późno też dla mnie na zajmowanie się malowaniem.

SW: Co myślisz o obecnych trendach w SF?

DB: Nie ma żadnych bieżących trendów w SF. Jest eksplozja w różnych kierunkach i taka powinna być SF. Czy mam się martwić tym, że pewne klisze nie są łamane dość często? Jak dodawanie czegoś nowego, jakiejś pozbawionej oblicza korporacji, jakiejś mrocznej konspiracji, ukrytego obcego czy szalonego naukowca...

A jednak klisza pozbawionej twarzy mrocznej konspiracji prawie zawsze dominuje, bo łatwiej jest postawić bohatera w sytuacji zagrożenia, kiedy społeczeństwo jest niekompetentne. Takie klisze mnie irytują. Dziś jednak w SF dzieją cudowne rzeczy. Oczywiście, że się dzieją!

SW: Jeżeli masz czas na czytanie, co czytasz? SF, fantasy czy główny nurt?

DB: Mnóstwo o historii. Jestem bardziej kosmopolityczny niż większość Amerykanów – moi przyjaciele w Europie dziwią się, że wiem, gdzie leży Praga i wiem, że Budapeszt był kiedyś dwoma miastami. Ale to nic wyjątkowego. Tylko co czwarty pisarz SF ma wykształcenie naukowe, ale prawie wszyscy autorzy SF czytają historię. Fantastyka naukowa to niewłaściwa nazwa. Powinno się ją nazywać historią spekulatywną. Chodzi o spekulacje na temat rzeczy, których może brakować w naszej wiedzy o przeszłości, światach równoległych...

SW: A może powinno się mówić o historii alternatywnej...

DB: Albo o historii alternatywnej. Oto jest, być może zbyt długa, a może przefilozofowana odpowiedź na twoje pytanie, ale ja czytam SF! Rozkoszuję

się SF, ale że jestem zapracowanym ojcem i mam mnóstwo rzeczy do roboty, i właśnie podjąłem karierę publiczną, wynik jest taki, że czytam SF, które mi się poleca.

SW: Czy zatem masz jakichś ulubionych pisarzy głównego nurtu?

DB: Aldousa Huxleya, od lat .

SW: Czy możesz zdradzić inspiracje sagi Wspomaganych? Jak wpadłeś na ten pomysł?

DB: No cóż, ma to związek z kliszami, o których mówiłem. Pomysł stworzenia obcych – jeśli ich nie znajdziemy, stworzymy ich sami. Możemy to zrobić poprzez sztuczną inteligencję, możemy na sposób amerykański – sprawiając, że coraz więcej nas dziwaczeje i tworząc w ten sposób własnych obcych. Pomysł stworzenia nowych gatunków poprzez zmiany gatunków już istniejących już wcześniej krążył wokoło. Zrobili to Cordwainer Smith i Pierre Boule. Różnica między Pierrem Boulem i H.G. Wellsem – „Pokarmem bogów” i „Wyspą doktora Moreau” – a wszystkimi tymi usiłowaniami polega na tym, że wszyscy oni oddawali władzę w ręce szalonych naukowców, a cywilizacja obracała potem te zwierzęta w niewolników.

Przez te wszystkie historie chciałem zrobić coś innego. A jeśli spróbujemy wspomóc inne istoty w dobrej wierze? Z zamiarem zrobienia z nich obywateli?

SW: A potem przeszedłeś do pomysłu obcych robiących to samo?

DB: Tak, z powodu paradoksu Fermiego. Co mogłoby powstrzymać jakieś gatunki przed opanowaniem Kosmosu? Te gatunki przeszły już przez ten problem i uznały, że jedynym sposobem zrobienia tego, jest zrobić to we własnym najlepszym interesie. Chronić środowisko. To jakaś faszystowska *isosensitivity* do której musimy się szybko przystosować. Poza tym, bardzo smakowity jest pomysł, że przez przypadek, dlatego że zrobiliśmy coś dobrego, znajdziemy się wśród społeczeństw Galaktyki, i te społeczeństwa nas za to znienawidzą. To bardzo amerykańska idea...

SW: Wierzysz, że coś takiego może się zdarzyć w przyszłości?

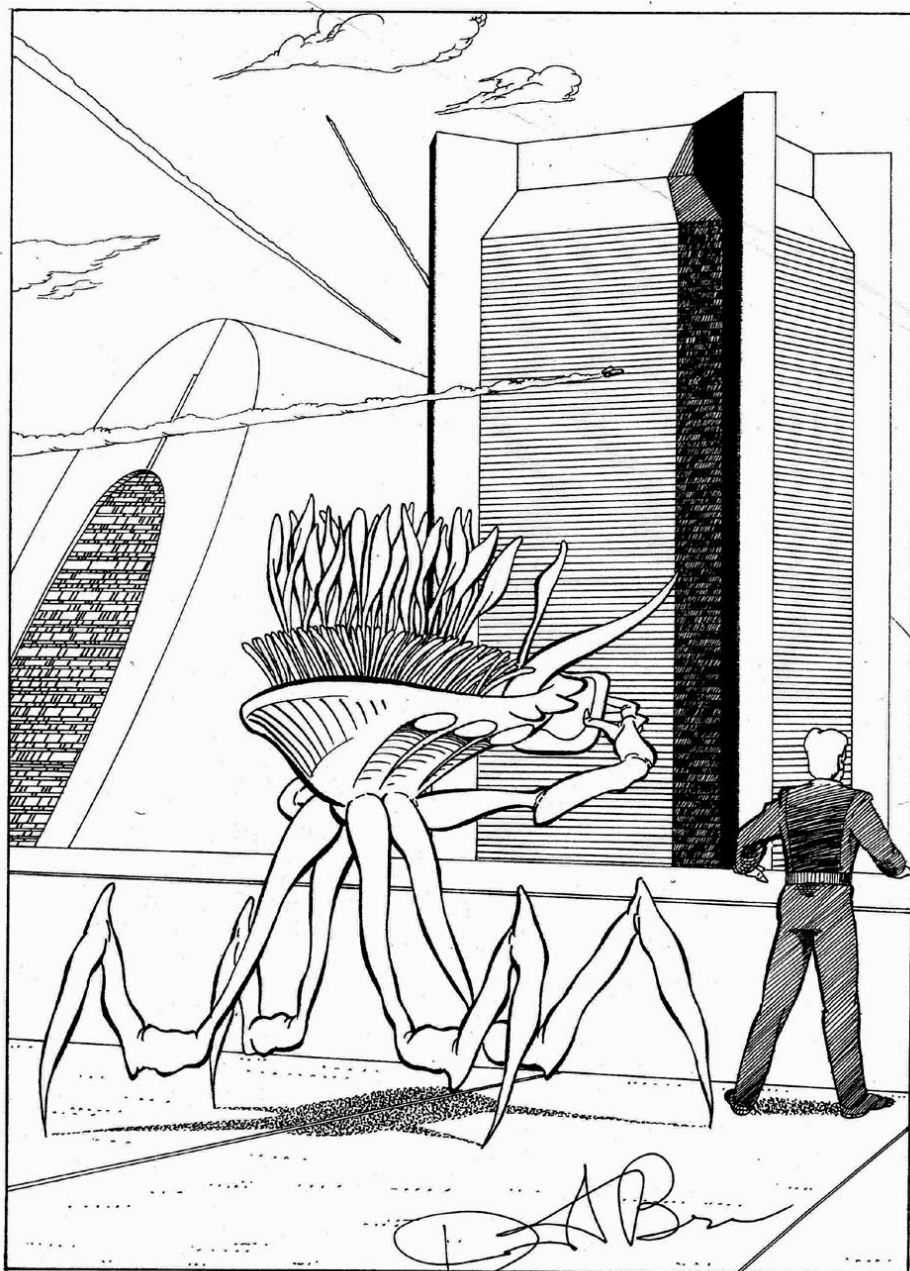
DB: Wygląda na to, że Galaktyka jest pusta. To przerażające. W 1985 opublikowałem artykuł na ten temat. Zamiast podać jeden powód, dla którego jesteśmy samotni, wyliczyłem je wszystkie i niektóre są przerażające. Najbardziej prawdopodobny jest moim zdaniem ten, że jesteśmy nienormalnie inteligentni. Że jesteśmy znacznie bystrzejsi od przeciętnych gatunków, które dochodzą do używania narzędzi. I że jesteśmy wystarczająco inteligentni, by nie zniszczyć sami siebie.

SW: To dobra nowina.

DB: Cóż, to daje nadzieję, gdybyśmy byli jedyni, ale znajdziemy młodszych, żeby ich oszczędzić... cóż za wspaniała rola dla nas!

SW: Jaki rodzaj pisania sprawia ci przyjemność?

DB: Książki niefabularne wymagają 10 razy więcej pracy za 1/10 pieniędzy, a twoi bohaterowie mogą cię ciągać po sądach. Tymczasem mogę robić wszystko, co zechcę z postaciami fikcyjnymi, a one nie mogą mnie skarżyć. Przemyślałem to sobie i zrozumiałem, że to temat na wielkie opowiadanie. I właśnie dostałem nagrodę za „The Stones of Significance” o przyszłości, w której takie postacie mogą cię skarżyć.



PHASZKA / 1

SW: To pytanie może cię zdziwić – wczoraj na wieczery z artystami mowa była o tak zwanym „księżycowym oszustwie”. Co o tym myślisz?

DB: Myślę, że to bardzo głupie. I, jak mówiłem w „Transparent Society”, większość z tych teorii spisku opiera się na pogardzie. Na tym, że jedyni, którzy wiedzą o oszustwie są dość bystrzy, by je widzieć – znacznie bystrzejsi niż masy. Ignoruje się fakt, że żyjemy w cywilizacji, w której znający sekret zarobiliby znacznie więcej jako pierwsi, którzy go ujawniają, tak żeby inni poszli do więzienia, a oni zagarnęli wszystkie programy telewizyjne i milionowe kontrakty na książki.

SW: Moja żona mówi, że utrzymanie sekretu nie leży w naturze ludzkiej.

DB: W społeczeństwie, które osiągnęło pewien poziom otwartości i bezpieczeństwa. Poniżej tego poziomu konspiracje rozkwitają, bo ludzi można zabić. Powyżej tego poziomu bardzo trudno jest utrzymać sekrety z powodów, które opisałem. Ma to nazwę dylematu więźnia w matematycznej teorii gier, jeżeli jesteś w sytuacji, gdy cały zysk przypada temu, kto pierwszy powie.

To właśnie problem „Archiwum X” – jak można utrzymać taką konspirację? To niemożliwe! Pierwszy, kto ją ujawni, będzie bohaterem, a wszystkich innych się zastrzeli. To co innego niż sekrety zbrojeniowe, jak bombowiec B2, bo większość ludzi wtajemniczonych jest zainteresowana i trudno im wyobrazić się, że to ohydne. Mogą przynajmniej wmawiać sobie, że to nie dość ohydne, żeby ryzykować ukaranie, bo ludzie, którzy zamierzają cię ratować, są tylko ludźmi. Jeśli społeczeństwo powie: „To było haniebne, a ty byłeś dobry” jesteś uratowany. Jeśli jednak cię nie uratuje, jesteś martwy. Całkiem dosłownie.

SW: Gdybyś miał wybrać sobie miejsce i czas do życia, co byś wybrał? I dlaczego?

DB: To interesujące, że ludzie często o to pytają. W scenariuszu SF pytają, jaki świat SF byś wybrał. Niektórzy mówią, że Diunę, albo Gwiezdne Wojny, gdzie byłbyś po prostu na łasce tamtejszych mutantów. Najbardziej obiecującym światem SF, w którym ludzie mogą rzeczywiście chcieć być normalnymi ludźmi, jest Star Trek.

SW: Czy chciałbyś żyć w swoim Wszechświecie Wspomaganych?

DB: Mój Wszechświat jest zbyt niebezpieczny. Byłbym dumny będąc członkiem cywilizacji ludzi, delfinów i szympanсів, którą tam przedstawiam, ale są to trudne czasy. Mam nadzieję na lepsze. SF jednak powinna przedstawiać rzeczy zarazem ciemne i jasne. Te uświęcone zwyczajem Utopie są najczęściej nudne. I najczęściej zaczynają się w morzu krwi, bo zwykle startują od jakiejś okropnej plagi, choroby albo wojny... To się nie dzieje o sześć bloków stąd - to by była kolejna rewolucja - ale wtedy po raz pierwszy zdecydowano się nie tworzyć klasy rządzącej.

SW: Co jest najtrudniejszą barierą do pokonania w wyobrazeniu sobie metod podróży międzygwiazdnych?

DB: No cóż, musimy nauczyć się hibernować, stworzyć inteligentne maszyny, które myślą o sobie jako o ludziach, żeby je wysłać, spróbować znaleźć napęd warpowy, który nie wysadzi w powietrze macierzystej planety (jeżeli nie ma tam nikogo, to może znaczyć, że takie eksperymenty są niebezpieczne!). Musielibyśmy spróbować zbliżyć się do wszystkich tych metod naraz.

SW: Czy myślisz, że będziemy kiedyś podróżować szybciej niż światło?

DB: Myślę, że nasi mechaniczni potomkowie wyruszą do gwiazd - może nie szybciej niż światło... Jeśli nie rozwiniemy podróży FTL, będą to zapewne nasi mechaniczni potomkowie. To będzie w porządku, dopóki będą myśleć o sobie jako o ludziach i przenosić kopie mojej osobowości.

SW: Czy byłbyś zainteresowany wzięciem udziału w konwencji SF w Polsce?

DB: Bardzo bym chciał! Rozważaliśmy zabranie dzieci do południowej Francji na pół roku, a wtedy podróżowalibyśmy wszędzie dookoła. Nie jesteśmy pewni, kiedy to nastąpi - prawdopodobnie w ciągu dwóch lat. To dla nich, żeby nauczyły się innego języka. Niestety to oznacza, że nauczą się języka nieprzydatnego (francuskiego), ale Sharon i ja znamy go, i to by było bardzo wygodne i miłe. Gdybyśmy naprawdę robili to dla dzieci, zamieszkalibyśmy w Chinach, ale to by było bardzo trudne.

SW: Chiński może naprawdę stać się językiem przyszłości.

DB: Mam nadzieję, że będzie drugim językiem w przyszłości - jeśli wierzysz w demokrację, to powinien być # 2. Nie widzę jednak nas jadących tam i żyjących w jakimś małym chińskim domku.

SW: Czy wiesz coś o fandomie polskim?

DB: Spotygam od lat polskich fanów. Chciałbym złożyć wizytę, bo jest tam wiele interesujących miejsc i chciałbym zobaczyć skąd przybył mój dziadek.

SW: Ile wiesz o historii Polski?

DB: Och, wiem o Mongołach, którzy wyniszczyli połowę populacji, o królu zapraszającym różne grupy etniczne, wiem o bogatej historii kulturalnej, wiem, co widziałem na filmie „Taras Bulba”...

SW: Porażające! Czy powiesz ostatnie słowo, przesłanie do polskich fanów?

DB: Marsz, marsz Dabrowski...

Tłumaczył Marek Michowski



Z ARCHIWUM PIPIDŹEJA



Właściwie – zakończyliśmy tę rubrykę w poprzednim numerze. Dziś swoisty „suplement”; coś na zbliżający się karnawał...

ŚWIAT WEDŁUG MYLENE

Piosenka francuska przeżywa swój wyraźny renesans, także w Polsce. Czy to wynik zmęczenia anglosaską dominacją w pop-kulturze, czy rezultat pojawienia się sporej grupy frankofońskich piosenkarzy, czy skutek tego, że dla młodego pokolenia słuchaczy – piosenki śpiewane nie po angielsku są dość „egzotyczna” nowością i odmianą. A przecież przez lata francuska piosenka była niezwykle popularna na całym świecie, zaś jej najwybitniejsze osiągnięcia stanowiły właściwie osobny gatunek muzyczno-literacki. Nie tylko rdzenni Francuzi ją zresztą tworzyli, że wymienię chociażby Charlesa Aznavoura (Ormianina), Yvesa Montanda (Włocha), Joe Dassina (Amerykanina).

Dziś na polskich listach przebojów goszczą takie postacie jak Garou (Kanadyjczyk zresztą...), In-Grid (Włoszka), Kate Ryan (Belgijka). Są to wykonawcy różnej klasy, często więcej ich dzieli niż łączy – wielu z nich bliższych jest jednak dzisiejszemu popowi (analogie „poziome”) niż tradycyjnej piosence francuskiej (analogie „pionowe”).

Swoistym polskim paradoksem jest to, iż w naszym kraju ów boom nastąpił dość późno – i nie „zaapała” się nań artystka będąca od lat gwiazdą nr 1 piosenki francuskiej; w Polsce jak dotąd znana jedynie grupce szczęśliwych „odkrywców” i wiernych fanów.

Mowa oczywiście o Mylene Farmer.

Urodzona na początku lat 60. w Kanadzie (prawdziwe nazwisko: Gautier), od wczesnej młodości zamieszkała we Francji, dzieląca obecnie swój czas między apartamentem w Paryżu a willą w Los Angeles – od dwudziestu lat ostro „mieszka” na francuskiej scenie muzycznej.

Piosenki, które śpiewa, trudno scharakteryzować jednoznacznie. Na pierwszy rzut oka (a właściwie: ucha) – jest to po prostu pop, czasem połączony z elementami rocka. Ktoś na jakimś fanowskim internetowym forum dyskusyjnym, nie mogąc sobie widać poradzić z zakwalifikowaniem tej twórczości, ukuł wręcz miano „artystyczny pop”. Dość miarodajne, acz mój przyjaciel z polonistyki (autentyczny meloman, słuchający właściwie wyłącznie muzyki klasycznej i jazzu – oraz... Mylene!) spozstrzegł chyba trafniej, iż jej twórczość mieści się nie tyle w tradycji popu, co w tradycji klasycznej piosenki francuskiej jako „gatunku” (i to od samej Edith Piaf poczynając).

Śpiewa przeważnie charakterystycznie wysokim, bardzo zmysłowym, głosem (aciz lubi się nim również „bawić” na różne sposoby, z półszteptami włącznie, nigdy nie korzysta z playbacku (nawet podczas rozmaitych uroczystych gali, gdy sięgają do tego narzędzia nawet takie sławy jak Phill Collins). Ma w swoim repertuarze i rytmy iście dyskotekowe, i totalne „pościelowy”. Jednak piosenki te – to nie tylko głos i melodia. To również tekst. Mylene sama pisze teksty swoich piosenek. I nie są proste rymowanki: w swej poezji (to nie jest termin na wyrost!) tworzy surrealistyczne skojarzenia dotyczące głównie dwóch dziedzin życia: miłości i śmierci (czyli tak częsty w sztuce duet: Eros i Tanatos). Sporadycznie także komponuje, jednak „nadwornym muzykiem” jest w tym przypadku ktoś inny...

Pisząc o Mylene Farmer nie sposób nie wymienić Laurenta Boutonnat. To ten wszechstronnie uzdolniony „cygan”-artysta odkrył ją i wylansował, to on napisał

muzykę do większości jej piosenek i wyreżyserował większość jej teledysków, to on był przez wiele lat jej towarzyszem życia – a współpracuje z nią nadal. Można tu mówić może nie tyle o duecie (Boutonnat nie śpiewa), co o idealnie zgranej spóźnie autorskiej. Mi zresztą aktywność twórcza Mylene i jej współpraca z Laurentem przypominają nieco naszą Korę i jej układ z Jackowskim...

Wspomniałem o teledyskach. To oddzielny, jedyny w swoim rodzaju rozdział. Nie Michael Jackson, nie Madonna, nie George Michael, nie Annie Lennox. Nie Peter Gabriel – ale właśnie Mylene Farmer ma na swym koncercie najlepsze i najniezwyklesze teledyski, jakie dane mi było zobaczyć. To już nie tylko arcydzieła gatunku. To wyjście poza gatunek. Często są to kilkunastominutowe filmy (gdzie część muzyczna stanowi zaledwie fragment) – filmy o wieloznacznej fabule (na temat wymowy tych filmów można potem długo dyskutować...) i perfekcyjnie wyreżyserowane (za adekwatnie duże pieniądze!). Mamy tu i barwne kostiumowe opowieści z czasów Ludwika XV (mocno libertyńskie i mocno antywojenne), i parafrazy znanych utworów literackich (jak np. Pinokia czy Królowy Śnieżki), i swoiste manifesty dotyczące odwiecznej „walki płci” (w alegorii perfekcyjnie zmontowanego sparingu boksiniejskiego lub iście upiornej corridy), i nawiązania do twórców i dzieł XX wieku (Orwell, Kieślowski), i zwariowane skecze (jak z Monty Pythona), i nastrojowe obrazy (np. wśród płomieni); jest też obraz „podsumowujący”, w którym Mylene płynie łodzią na drugi brzeg rzeki – i spotyka postacie ze swoich wcześniejszych teledysków (przewoźnik okazuje się być Charonem). Dużo w tych teledyskach symboliki (także religijnej), dużo okrucieństwa (często szokującego), dużo nagości (jednak nigdy nie popadającej w wulgarność). Dużo też, szeroko pojętej, fantastyki (dla tego zdecydowałem się dołączyć ten felieton do „Archiwum”). I bardzo wiele tradycji europejskiego kina – tego od Bergmana czy Felliniego. Wymagałyby one wszystkie oddzielnej analizy! Większość z nich reżyserował Laurent Boutonnat, acz wcale udane filmy wyszły spod kamery także innych twórców (m.in. samego Luca Bessona).



Wszystkie teledyski Farmerki (poza kilkoma absolutnie najnowszymi) znalazły na dwóch płytach DVD („Music Videos I” i „Music Videos II & III”). Ponieważ jednak trzeba sprowadzać je indywidualnie z Francji – jest to dość droga „zabawka” jak na kieszeń przeciętnego Polaka (piszącego te słowa to niestety także dotyczy)...

W jakimś momencie Farmer i Boutonnat postawili nawet „pójść za ciosem” i zrealizowali pełnometrażowy (nie-muzyczny!) film Giorgino – jednak poniósł on klęskę. Ponieważ obejrzenie go w Polsce nie jest praktycznie możliwe (jak większość współczesnych filmów francuskich czy włoskich), trudno wyrokować o przyczynach tejże. Może aktorski talent Mylene, która tworzy w swych teledyskach przejmujące kreacje (ale jednak utrzymane, z oczywistych względów, w poetyce kina niemego), nie przenosi się na kino dźwiękowe; zresztą grała ona w Giorgino rolę drugoplanową. Teraz ponoć powstaje drugi film z Farmerką (w reżyserii zaprzyjaźnionego z nią pisarza, według jego powieści) – zobaczymy...

Jednak Mylene Farmer to przede wszystkim obdarzona autentyczną charyzmą piosenkarka. Słychać to na jej CD. Notabene, po dłuższej przerwie (ostatnio ukazał się jej album typu „the best of” oraz kolejny klubowy remix), na wiosnę przyszłego roku zapowiadana jest jej kolejna seryjna płyta. Już czekam z niecierpliwością!

Słychać i widać to na jej koncertach (utrwalonych na CD i DVD). Niesamowity kontakt z publicznością: prawdziwy dialog, w którym Mylene swobodnie parafrazuje

swoje hity, zaś tłum śpiewa spontanicznie ich fragmenty. Niesamowity spektakl: pełen muzyki, tańca, światła (ciekawostka: do ostatniej trasy, „Mylenium Tour”, scenografię zaprojektował sam H.R. Giger – arcy mistrz komiksu, twórca postaci Obcego z filmu Ridleya Scotta).

Bohaterka tego szkicu nie stroni od współpracy z innymi artystami. Nagrała duety z Khaledem, Jean-Louise Murat i z Sealem (tylko fatalny splot wydarzeń spowodował jej rezygnację z jednego z koncertów cyklu „Pavarotti and Friends”). To ona i Laurent odkryli i wylansowali młodzietką Alizee (dla której piszą wspólnie teksty i muzykę). Dość niezrozumiała była ich decyzja o wyrażeniu zgody na to, by dwa wielkie hity Farmerki (Desenchantee i Libertine) włączyła do swego repertuaru Kate Ryan; paradoksalnie – w wersji potwornie „łupankowej” znalazły się one na top-liście także w naszym kraju.

Podobno Mylene Farmer powoli zaczyna planować swoją kolejną, czwartą w karierze, trasę koncertową. Niestety, do nas raczej nie przyjedzie. Mówi, że źle jej się występuje przed publicznością, która nie śpiewa wraz z nią. A taka jest prawda! I ten tekst tego raczej też nie zmieni...

Jan Plata-Przechlewski

[tekst ukazał się wiosną w „Panoramie Powiatu Wejherowskiego” – z okazji Ogólnopolskiego Tygodnia Kultury Frankofońskiej]

Powtórka z rozrywki

Andrzej Sapkowski, *Narrenturm*,
Warszawa 2002, superNOWA, s. 594.



Narrenturm Andrzeja Sapkowskiego – pierwsza powieść łódzkiego pisarza spoza cyklu opowieści o wiedźminie Geralcie – była zapowiadana zbyt długo i nazbyt entuzjastycznie, by mogła spełnić pokładane w niej czytelnicze nadzieje: niewiele jest wszak utworów *fantasy*, których świat przedstawiony odwołuje się do polskich realiów.

Jako bodajże pierwszy zdecydował się na ten krok (ani wówczas, na początku lat dziewięćdziesiątych, ani teraz nie aż tak oczywisty, jakby się zdawało) Artur Szejter, którego *Karzeł z Wyspy Brzóz*, *Wieszczy*, *który Pólnocy*, uznane zostały przez branżową krytykę za *fantasy „słowiańską”* (z uwagi na umieszczenie czasu akcji w początkach polskiej państwowości) i zapomniane na kartach archiwalnych numerów nie istniejącego już pisma „Fenix”. Los okazał się nieco łaskawszy dla nowel z kręgu *fantasy „szlacheckiej”* Jacka Komudy, który XVII-wiecznym Kresoł poświęcił utwory zebrane w tomie *Opowieści z Dzikich Pól*, jak i powieść *Wilcze gniazdo* (inna rzecz, że ostatni z przywołanych utworów to bardziej powieść historyczno-przygodowa, niż *fantasy*: element irracjonalny w utworze został zredukowany głównie do lokalnych wierzeń i treści mającej chorego bohatera).

Andrzej Sapkowski nie wykorzystał w *Narrenturm* pomysłu osadzenia akcji powieści w czasach do których odwołują się Szejter i Komuda. Sytuując akcję powieści na terenie XV-wiecznego Śląska pozostał wierny swej poetyce, znanej

czytelnikom z cyklu zapoczątkowanego *Ostatnim życzeniem*: ujęciu fabuły w kłamekę przytoczonej opowieści. Chwył ten nie służy jednak w przypadku omawianej tu powieści prezentacji zdarzeń z różnych punktów widzenia, pozostając raczej manierycznym gestem. Zabieg ów pełniłby więc rolę analogiczną do techniki „pamiętnika znalezionego w...” a trudno uznać to dziś za rozwiązanie interesujące. Jeśli zaś chwył ten miał prowokacyjnie przywołać stereotypowość gestu po to, by go zanegować lub reinterpretować, Sapkowski zamierzonego celu nie osiągnął.

Nie tylko konstrukcja narracji jest zresztą w *Narrenturm* nieudana — parodystycznie przetworzona (i zwielokrotniona) scena miłosna przywołująca na myśl *Imię róży* Umberta Eco to nikły, by nie rzec — żalony pogłos swego pierwowzoru. Podobnie zbędne, wtórne i nieudane są próby ahisterycznego spojrzenia na rozgrywane się wydarzenia i ich aktualizacja. W sposób dalece ciekawszy aluzję wykorzystywał Karol Bunsch, dla którego przeszłość była wygodnym kostiumem współczesności, podobnie jak dla Pawła Jasiennicy i Jacka Bocheńskiego. Jeśli by zaś, co można wielokrotnie zaobserwować podczas lektury, Sapkowski próbował, ukazując dzieje Śląska, posiłkować się skandalem, to i w tym nie można przyznać mu palmy pierwszeństwa. Eksces mógł zwracać uwagę czytelników dekadę wcześniej, jednakże po utworach Krzysztofa Bieleckiego i Manueli Gretkowskiej (by na nich poprzestać) pobrzmiwa on raczej epigońsko. Aby zaś pozostać w kręgu literatury fantastycznej, wystarczy przypomnieć głośną w końcu lat dziewięćdziesiątych *Komusutrę* Aleksandra Olina lub *Chude kołeczki* Pawła Solskiego.

Powyższe uwagi, jakkolwiek podyktowane goryczą czytelniczego rozczarowania, nie przysłaniają atutów powieści Sapkowskiego. Na uwagę zasługuje realizowana koncepcja powieści historyczno-fantastycznej, w której element irracjonalny stanowi element ontologii świata przedstawionego. Stopniowa prezentacja nadprzyrodzonych (z punktu widzenia czytelnika) zjawisk w kolejnych odsłonach jest chaotyczna i niejednorodna w wykorzystywanej poetyce. Odbiorca ma wrażenie, iż autor nie mógł się zdecydować, czy zamierza obracać się w kręgu *fantasy*, czy też bliższa byłaby mu poetyka horroru. W efekcie czytelnik nie potrafi jednoznacznie odróżnić bytów „realnych” dla bohaterów *Narrenturm* (w tym sensie, że nie „przelamujących” ontologii świata przedstawionego) od obcych mu ontologicznie. Ostatecznie Sapkowski decyduje się na podporządkowanie fabuły wymogom literatury *fantasy*, co jest mu bliższe o tyle, że umożliwia rozwinięcie wątków znanych odbiorcy z wcześniejszej twórczości pisarza.

Na pierwszy plan wysuwa się tu „smutek przemijania”, inspirowany zapewne twórczością Johna Tolkiena, a rozwinięty już we wczesnej noweli Sapkowskiego *Maladie*. Główny bohater *Narrenturm*, Reinmar z Bielawy, słyszy po wielekroć tchnące rezygnacją słowa *tak mało już nas zostało* (np. s. 467), które padają z ust istot obdarzonych nadprzyrodzoną mocą. Dobitnie świadomość przemijania wyraża jeden z uczestników sabatu, według którego *nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Mielicie swoją epokę, erę, swój eon nawet. Ale (...) wszystko ma swój czas i swą godzinę. A co minęło, nie wróci* (s. 456). Słowa te są powtórzeniem myśli elfów z *Ballady o końcu świata* — jednego z opowiadań o przygodach wiedźmina Geralta.

Sapkowski, jak się wydaje, próbował powrócić do interesujących go zagadnień, umieszczając je w nowej scenarii: swoisty „Neverland” z cyklu opowieści o wiedźminie Geralcie zastąpiony został w *Narrenturm* XV-wiecznym Śląskiem. Nie umiał jednakże wyzwolić się z ograniczeń wypracowanej na potrzeby cyklu wiedźmińskiego poetyki, co źle rokuje kolejnym, mającym dopiero powstać, tomom trylogii. Nie warto próbować — jako się rzekło — wchodzić dwa razy do tej samej rzeki, nie jest to bowiem możliwe. Pozostaje zatem żywić nadzieję, że następne tomy przygód Reinmara będą miały do zaproponowania czytelnikowi coś więcej, niż tylko „powtórkę z rozrywki”, nawet, jeśli jest ona napisana w sposób bardziej zajmujący od swych poprzedniczek.

Adam Mazurkiewicz



C.D. (koniecznie)N.

Czy nowa powieść Jacka Dukaja — *Perfekcyjna niedoskonałość* — była zaskoczeniem? Z pewnością nie tematycznym, bowiem motywy cyberpunkowe przewijały się w twórczości Dukaja już wcześniej (wystarczy przypomnieć głośne niegdyś opowiadania *IACTE* lub *IRREHAARE* — to ostatnie miało wszak dać tytuł antologii rodzimych utworów cyberpunkowych, pomysłu jednak nie zrealizowano). Czytelników śledzących literacką karierę Dukaja nie dziwi obecność w rzeczony powieści problemów filozoficznych (obecny wszak już w kultowym debiucie, *Złotej galerze*), ani specyficzna narracja, której styl można chyba uznać za znak rozpoznawczy autora. Również afrykańska sceneria kilku epizodów *Perfekcyjnej niedoskonałości* przywołuje na myśl poprzednią powieść — *Inne pieśni*. A jednak nowy utwór Dukaja zaskakuje (by nie rzec: olśniewa, jeśli chcemy unikać wielkich słów, jakkolwiek w tym przypadku byłyby one w pełni usprawiedliwione). Nie tym jednakże, co zwykliśmy cenić w literaturze popularnej, do której widać w *Perfekcyjnej niedoskonałości* wiele odniesień. Nie schemat bowiem, czy też jego przekraczanie, są w utworze Dukaja najcenniejsze. Trudno wszak byłoby mówić o nowatorstwie, skoro wykorzystywany w rzeczony powieści schemat to dość banalna opowieść o grze interesów, porwaniach, amnezji głównego bohatera — Adama Zamoyskiego — czyli *de facto* literatura sensacyjna "instant", w której szablon wspiera się szablonem, wszystko zaś jest zaprezentowane w ultranowoczesnej scenarii cyberpunkowej.

Tym, co najwartościowsze, a zarazem najbardziej oryginalne, jest u Dukaja stworzenie (nie próba, a właśnie uczynienie tego) świata przyszłości, będącego nie tylko scenerią akcji, lecz również jednym z bohaterów powieści. Niczym we wcześniejszych *Czarnych oceanach* jest to przestrzeń obca współczesnemu czytelnikowi, co wynika z założen czasowych fabuły: trudno wszak byłoby uwierzyć, że między "naszymi a przyszłymi czasami" (w tym przypadku połowa XXIX wieku) nic się nie zmieniło. Dukaj owe zmiany wpisuje w paradygmat społeczeństwa informacyjnego, u podstaw którego leży proces ekspansywnego rozwoju technologii komputerowych i cyfrowego przetwarzania danych. Innymi słowami, autor *Perfekcyjnej niedoskonałości* wykreował świat, wspierając się spośród współczesnych tendencji tymi, które wydały mu się najbardziej prawdopodobne, jako wpływające na rozwój cywilizacji w przyszłości. Podobnie czynił Stanisław Lem, usiłujący w *Astronautach* zaprojektować rozwój astronautyki. Dukaj jednakże — przy zbieżności celów — obrał inną metodę. Odrzucił narratora wszechwiedzącego, pełniącego u Lema funkcję „skarbnicy wiedzy”. W efekcie czytelnikowi *Perfekcyjnej niedoskonałości* oszczędzony został wykład, na rzecz poznawania „w toku”. Dzięki takiej decyzji autora czytelnik powieści Dukaja „wchodzi” niejako wewnątrz świata przedstawionego zupełnie nieprzygotowany na to, co w nim napotka. A różnice między światem odbiorcy i wykreowanym zawierają się nie tylko w odmiennych konwencjach, lecz i gramatyce. Trudno zresztą, aby było inaczej, jeśli społeczeństwo przyszłości zorganizowane jest i funkcjonuje głównie w rzeczywistości wirtualnej, zaś formy sztucznej inteligencji koegzystują z człowiekiem.

Pewnym wprowadzeniem w świat są usytuowane przed kolejnymi rozdziałami hasła z *Multitezaurusa* — swoistego (jak sugeruje to nazwa) leksykonu przyszłości. Te — w stosunku do całości powieści Dukaja — objętościowo krótkie wstawki to „próba generalna” dla pomysłowości językowych możliwości, który to egzamin autor *Perfekcyjnej niedoskonałości* przeszedł z powodzeniem. Hasła *Multitezaurusa* bowiem nie tylko ułatwiają zrozumienie reguł, podług których zbudowany jest Dukajowy świat, lecz również pozwalają na „przeziąknięcie” jego atmosferą.

Powieść Dukaja uwodzi warstwą językową, jednocześnie zaś rozmach kreacji „usprawiedliwia” obraną formę trylogii. W utworze nie ma sceny nieumotywowanej fabularnie, zbędnej. Postacie charakteryzowane są głównie poprzez ich język, co może początkowo wprowadzać niejaką dezorientację, która jednak z czasem przekształca się w podziw dla językowych kompetencji autora. Tym bardziej że odmienna jest nie tylko

gramatyka, lecz — przede wszystkim — sposób widzenia świata przez różne formy inteligencji, uzależniony od jej poziomu.

Trudno szukać w nowej rodzimej fantastyce wizji przyszłości wykreowanej w sposób równie precyzyjny, co przez Dukaję. A jednocześnie autor nie przytłacza nadmiarem szczegółów - informacje o zwyczajach, broni, technologii podawane są niejako mimochodem. Szczególny podziw budzi dbałość o konstrukcję psychiczną bohaterów — zwłaszcza tych „postludzkich”. Z tym większą więc niecierpliwością przyjdzie czekać na kolejne tomy trylogii.

Adam Mazurkiewicz

Dukaj Jacek, *Perfekcyjna niedoskonałość*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004, s. 451.

Zielen i błękit



To kolory niebezpieczeństwa dla kogoś, kto utonął w morzu, a taki właśnie los spotyka w prologu trzynastoletnią bohaterkę.

Melisandra powraca do rodzinnego miasta po latach służby i nauki u Djevry, starożytnego boga magii, który przywrócił ją do życia.

Akcja toczy się na wyspie Serralangue, u brzegów kontynentu, na którym rozwija się technika wieku pary i elektryczności. Na wyspie używa się świec i lamp naftowych. Zamieszkują ją dwa społeczeństwa: jej pierwotni mieszkańcy, Neahelici, uprawiający magię wyznawcy dawnych bogów, i Okcytańczycy, zdobywcy z kontynentu, którzy przed czterystu laty urządzili pogrom czarodziejów, oddając w kościołach cześć świętym. Istnieją tu też dwa miasta: tętniące życiem okcytańskie Quinson i Miasto Snów, starożytne ruiny nad morzem, zamieszkane już tylko przez soutzene i ich służbę.

Melisandra, półkrwi Neahelitka, jest soutzhau. Soutzene to wybrańcy, neahelickie dzieci ożywione przez Djevry. Jedynie oni mogą zostać magami.

Bohaterka jest ostatnim takim dzieckiem. Bóg magii nie wybrał po niej nikogo nowego.

Wkrótce po powrocie bohaterki do rodziny, znalezione zostają zwłoki zamordowanego. Ktoś usunął pamięć ofiary (bo zabici pamiętają!), a to wskazuje na udział w morderstwie jakiegoś maga. Melisandra zostaje wciągnięta w śledztwo, które współprowadzi prawnik Sevrin, również półkrwi Neahelita.

Tyle o treści książki. Nie można zdradzić więcej, kiedy ma się do czynienia z zagadką kryminalną. Nie całkiem klasyczną, chociaż chodzi o morderstwo — bo jest to kryminał fantazy.

Jest to także powieść obyczajowa. Akcja toczy się w salonach okcytańskiej arystokracji i na ulicach portowego miasta Quinson. Bierze w niej udział wiele barwnie opisanych postaci. Obok pary głównych bohaterów i historii ich związku i zbliżenia, poznajemy ich rodziny, a także okcytańską elitę, od naukowca demonologa (bo demony bada się naukowo) do księdza. Religia ma w Quinson wymiar praktyczny, a święci dają dowody swej obecności, stawiając czoło magii, która ustępuje placu. Poznajemy neahelickich magów i ich siedzibę, Dom Snów, pełen pamiątek dogasającej starożytnej kultury.

Akcja rozwija się i wciąga czytelnika wraz z postętami prowadzonego dwutorowo — klasycznie i magicznie — śledztwa, ale „Miasto w zieleni i błękit” jest raczej powieścią nastroju niż akcji. Opisy Miasta Snów są głęboko poruszające.

Konstrukcja książki jest bez zarzutu i czytelnik dostaje na końcu zaskakujące rozwiązanie zagadki kryminalnej.

Trzeba też pochwalić znakomity język narracji. Dialogi prowadzone w stylu „Lalki” służą oczywiście umiejscowieniu akcji w alternatywnym wieku XIX, ale Melisandra jest w wypowiedziach nieprzewidywalna — tak samo jak i w czynach.

Polecam wszystkim!

Marek Michowski

Anna Kańtoch, *Miasto w zieleni i błękit*, Fabryka słów, Lublin 2004, s. 368.

Zero tolerancji!

Rzecz jest o kochających inaczej.

Nie chodzi tu o homoseksualistów — ich problemy zostaną prędzej czy później unormowane w Polsce do końca. Pary homoseksualne będą mogły zawierać małżeństwa (również konkordatowe), dziedziczyć po sobie, adoptować dzieci itp. Za kilka lat rozwój medycyny pozwoli na urodziny (*in vitro*) dzieci łączących cechy genetyczne obojga partnerów. Możliwe będzie również wmontowanie w jednego z partnerów (w przypadku pary męskiej) sztucznej macicy — celem tradycyjnego donoszenia płodu.

Istnieją jednak inne mniejszości seksualne, które dotąd nie wywalczyły sobie żadnych praw, a z reguły są tępięone i pogardzane.

Dlaczego — pytam — tak jest? Gdzie jest — pytam — poprawność polityczna?!

Weźmy nekrofilę.

Rozumiem... beżczeszczenie zwłok... Ale jeśli nieboszczyk (lub nieboszczka) przekaże w testamencie swoje ciało ukochanemu — to pod względem prawnym wszystko będzie OK. Uważam, że państwo powinno zadbać o większą trwałość takich związków, sponsorując nekrofilom zakup specjalnych lodówek. Przy okazji nastąpi rozwój przemysłu chłodniczego, utworzenie nowych miejsc pracy i zmniejszenie bezrobocia.

Albo zoofilia i przysłowiowe owieczki.

Obrońcy praw zwierząt mogą być przeciw. Jeżeli jednak wykwalifikowany psycholog zwierzęcy wyda orzeczenie, że owieczka to lubi, to nic nie stoi na przeszkodzie zalegalizowaniu związku. Trzeba jednak pamiętać, że w warunkach miejskich utrzymywanie partnerki jest dość kosztowne. Chodzi o dodatkową powierzchnię mieszkalną i paszę. Ale od tego jest państwo, aby finansowo pomóc miłości.

Nieco problemu może sprawić sprawa dziedziczenia przez zwierzę majątku po zmarłym partnerze. Trzeba będzie zmienić przepisy prawne i utworzyć specjalny Fundusz Powierniczy.

Oczywiście powyższe rozważania dotyczą też innych zwierząt-partnerów: kóz, kur, żółwi i krokodyli.

Wreszcie temat-tabu: pedofile.

Są pedofile czynni i pedofile ukryci (którzy — by zagłuszyć własne emocje — gdy zobaczą tańczącą nastolatkę w podkaszonym stroju, krzyczą głośno: "Pedofilia!!!"). I jedni, i drudzy tworzą mniejszość seksualną, która również — w imię świętej poprawności politycznej — powinna mieć swoje prawa!

Nie chcę być źle zrozumiany. "Pierwszy bym pałkę strząsał" na głowie pedofila dobierającego się do jakichkolwiek dzieci. Ale od czegoż współczesna (i przyszła) nauka! Dlaczego państwo nie może przydzielić każdemu pedofilowi odpowiednio ukształtowanego (wg. gustów) androida?

Już Was słyszę Drodzy Czytelnicy: "Dlaczego, do k... nędzy, z moich podatków mają być opłacane te wszystkie poj... p....?!".

Odpowiadam:

Po pierwsze — jeżeli powiedziało się A (jak w sprawie homoseksualistów), to należy powiedzieć B.

Po drugie — osobiście wolę, aby moje podatki szły na lodówki, paszę dla owieczek, bezmózgie androidy i co tam jeszcze, niż na utrzymywanie i przekrety pewnej innej mniejszości.

I tu dochodzimy do sedna! Jest w Polsce pewna mniejszość gangstersko-pijacko-aferalno-hochszaplarsko-lobbistyczno-partyjno-złodziejsko-paranoidalno-ćpunowsko-seksualna, dla której

ZERO TOLERANCJI!!!

Mam na myśli 99% "przedstawicielei" Narodu, posłów na Sejm III RP.

Neo

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR
187

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Marek Michowski,

Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

RYSUNKI: David Brin (12, 15), Thomas Hofmann (3), Piotr Terszel (22)

FOTOGRAFIE: Michał Dagajew

CONTTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji